ROK X. WARSZAWA, 31 MAJA 1921 R. ZESZYT X.

PLACÓWKA

KULTURY I SZTUKI

Protokóły Syjonu.

Mówi się powszechnie i cośkolwiek wie o wybuchach wulkanów, zasypujących mrowiska ludzkie, o orkanach zmieniających mapę lądów, o wylewach rzek, zatapiających nadbrzeża. Rzadko kto sięgnie do zródeł przyrody, skąd tryskają niszczące żywioły. Uczony — w dziedzinie przyrodnictwa ogólnego, myśliciel-filozof w dziedzinie antropologji społecznej. Rzesze, wrażliwe na skutki, które je bezpośrednio dotykają, nie są pochopne do podróży w mozolną krainę przyczyn. Stąd płynie ich ślepota w stosunku do zagadnień historji, rozumianej jako nauka polityki. Rzesze, jak załoga kołyszących się łodzi, przesuwają się po oceanie życia; jedni zgoła bez żądzy poznania i wystarcza im rozkosz wrażeń, inni zdając się na mistykę cudu. Tylko sternik łodzi musi czuwać nieustannie, oparty na poznaniu.

Mimo olbrzymi rozwój i skomplikowanie życia ludzkiego w dobie obecnej, mimo otwartej pozornie drogi dla wszystkich i do wszystkiego, sztuka rządzenia jest jak tajemnica kapłanów egipskich. Wymaga takich przymiotów charakteru (woli) i takich nieśmiertelnych, niezmiennych punktów wyjścia, takiego trwałego fundamentu poznania, że dla ogółu jest niedostępna. Demagog krzyczący: „władza dla ludu“, jest tylko łowcą, który zastawił sidła na ptaszki. Z chwilą gdy demagodzy mogą się już lęgnąć w środowiskach, współżyjące pokolenia mogą osłonić swoje Panteony welonem żałoby.

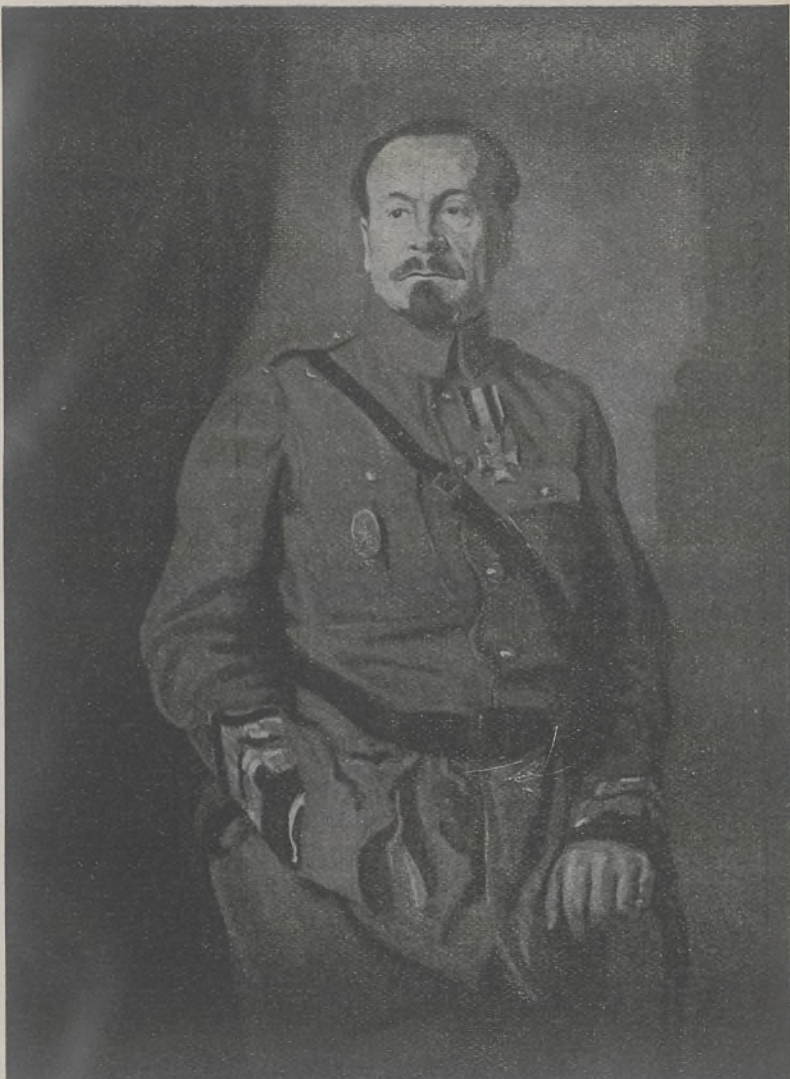
Europa od rewolucji francuskiej wstąpiła w okres demagogizmu. Jedne narody i jedne państwa, mniej, inne w większym stopniu. Dzisiaj zbliżamy się, lub już jesteśmy u punktu szczytowego. Ci mężowie parlamentarni, przedstawiciele stro-

nictw utrzymujących się przez demagogję, wyeksploatowawszy siły narodów w krwawej wojnie, zamiast pokoju, dali im koszulę Dejaniry, traktat wersalski. Taki Lloyd George to genjusz demagogji, genjusz zwyrodnienia moralnego. Więc Dillon w swej pouczającej książce mieści głęboko zastanawiającą uwagę, że ustrój parlamentarny istniejący musi ulec pewnym może nawet daleko idącym zmianom i że instytucja „sowietów rosyjskich" ma w sobie pewną słuszność przeczącą.

Podczas tych ostrych kłótni i walk ras europejskich o ustrój możliwie najlepiej zabezpieczający wolność indywiduum i jego dobrobyt, umysł semicki z tradycją Asyryi, Jerozolimy, Tyru, Kartaginy, korzystając z kapitału pracy europejskiej, z obfitego rozrodzenia się żydów, wzbił się tak pysznie po nad kalejdoskopem chaotycznego boiska, że już stawia własną teorję rządzenia, własny sposób panowania nad Europą. Skoro sami nie umiejąc się rządzić, iż władza należy do tych, którzy znają jej tajemnice, my, którzy te tajemnice znamy od wielu stuleci, przekazywane z ojca na syna, musimy nad wami objąć rządy i zapewnić wam spokój upragniony. Niektórzy z was sami wzywają Mesjasza, aby zbawił. Tym Mesjaszem może być tylko Cesarz-despota z krwi syjońskiej, rozumiejący, że po za błachostką wynalazków materjalnych, prawda psychiczna jest jedna niezmienna od wieków i że niema w niej miejsca dla tak zwanego postępu. Bez przekonania o wiekuistej jedności niemasz trwałości władzy.

Europejczycy wobec żydów byli dotąd naiwnemi dziećmi, a często i głupio-złośliwemi, jak łobuzy wydrwiwający pozornie słabego przechodnia. Jeżeli kto lub co może być przedmiotem drwin, to z pewnością nie żyd. Uczucie przezeń wywołane jest mięszaniną pogardy z podziwem. Pogarda, bo nie ma w sobie ani szlachetności, ani rumieńca; podziw, gdyż jest to żywy automat — działający z nieubłaganą konsekwencją, arcydzieło sprytu i kunstmistrzostwa i nikt pod tym względem nie może się z nim zrównać.

Łobuz europejski powinien już wreszcie zaprzestać bawić się żydowską brodą lub śmiertelną koszulą. Zwłaszcza teraz, gdy w poczuciu siły żydzi zdobyli się już na Teorję Polityki, zastosowaną do warunków nowoczesnych. Zatem to już mocarstwo, nie Syjon w obłokach, ale państwo ze sterem.



Portret gen. Hallera. St. Lentz.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

Teorja polityki żydowskiej jest wydrukowana w książce pod tytułem: „Protokóły mędrców Syjonu". Książka wyszła w kilku językach europejskich, a przetłomaczona i na język polski, choć egzemplarze są rzadkie, gdyż przez żydów wykupywane. Groza wojny chwilowo odsunęła na bok niezwykłą sensację tej książki, ale teraz wyjść musi na forum publiczne genjalność i epokowe znaczenie tej publikacji. Dzieła Machiavelli'ego mają się do Protokółów jak fujarka pasterza do potężnych wszechświatowych organów. Najważniejsze zaś jest to, że wszystko co się teraz w oczach naszych dzieje, jest zdumiewającem tej książki potwierdzeniem.

Naprzód strategja, cel główny. Polityka Syjonu chce przewrócić ustroje konstytucyjne świata, jako niezdolne do zapewnienia narodom spokoju, a wzamian postawić ustrój despotyczny pod Cezarem Syjońskim, na zmodyfikowany wzór starej Asyryi lub Kartaginy. Więc walka z Konstytucją, a orężem walki komunizm, jako stan przejściowy do despotyzmu. Przed nami przesuwają się sowiety bolszewickie Rosji. Pamiętajmy, że książka była już znana w r. 1905 to jest na dziewięć lat przed rozpoczęciem wielkiej wojny. Wtedy prawie nikt nie przejął się rozumowo jej treścią. Europa, przez żydów zahypnotyzowana, nie była w stanie zrozumieć potężnej prawdy, zawartej w tych koncepcjach. Urzędowym djabłem dla humanizmu był wtedy Car rosyjski i jego samowładstwo, a młodego Lenina piastował dopiero goscinny hotelik wolnej Szwajcarji. Były to czasy, gdy śmiałek, ważący się dotknąć słówkiem „biednego, ciemiężonego, prześladowanego" żydka, uzyskiwał natychmiast kulturalny paszport „czarnej sotni", wstecznika, reakcjonisty, wyrazów nie brakło. Społeczeństwa, jak magnetyzowane przez węża małpki na drzewie, spuszczały się paralitycznie w otwartą paszczę. Czekała na nie potężna, monolitowa myśl Syjonu. Więc jak krajowi Trojańskiemu, mimo Kasandrę, „Protokółom" prawie nikt nie dawał wiary. W najlepszym razie są przesadzone, myślano.

Z równą jasnością, jak plan główny, w tych dwudziestu czterech protokółach skrystalizowano i taktykę. Ze ścisłością prawniczą, niemal kodeksową, dotknięte są wszystkie, bez wyjątku, strony życia społecznego ze wskazaniem na sposób postępowania i agitacji. Administracja, sądownictwo, wychowanie publiczne, religja, finanse, prasa. Genialna teorja

propagandy, jako gry na melodykonie namiętności i słabości ludzkich. Wszystko chłodne, wyrachowane, stalowe, połyskujące powodzeniem na pewno. „To bydło gojowskie“ musi być pasione jak zwierzęta, lepiej niechaj nam (żydom) służy za trochę paszy, niżeli samo miałoby zmarnieć! Są lekkomyślni, chciwi, leniwi, próżni i głupi“.

Wyznam, że czytując „Protokóły“ pomyślałem o piekle Dantego. „Inferno“ zbladło mi zupełnie. Prawdziwe piekło miałem przed sobą.

Któż to jest Luciferem tej książki? najpotężniejszym z czortów, architofelem? Odejdźcie z drogi wątłe anemiczne figury i djable-purytaniści Byrona, i kuchciku Goethego i sentymentalny demonie Lermontowa, i pijaku Borato! Służcie swojemu panu. Jakoście przy nim kulawi. Jedynie Jahwe mógł się zdobyć na taki stwór.

„Protokóły“ są niewątpliwie dziełem czystego umysłu żydowskiego i to w gatunku najprzedniejszym. Tylko żyd pełen poczucia wartości swej rasy mógł się na nie zdobyć.

Wątpliwe, czy jeden człowiek mógł sam dojść do syntezy tak doskonałej w szczegółach, ale mógł był je zestawić i ogarnąć ze zbiorowych posiedzeń sanhedrynu, jako genialny w swoim rodzaju sekretarz. Według pisma „La vieille France“ autorem ma być Aszer Ginzberg, używający pseudonimu Achad-ha-en (Jeden z ludu) i napisał książkę po hebrajsku.

Rzecz musiano wykraść, gdyż ogłoszenie jej treści dla szerokiego ogółu może stać się dla żydów klęską. Chyba, że są już tak pyszni i pewni przewagi, że mogą prowokować. W każdym razie rozpoczęli teraz silną akcję, aby sprawę ubić. Jakim sposobem? Dowieść, że autorem jej jest nie-żyd, przytem osoba niewiarogodna, w oczach kulturalnego świata skompromitowana i mająca jakiś interes w szerzeniu rzekomego apokryfu. Przecież Protokóły nie tają, że w to „bydło“ (gojów) można wszystko wmówić.

Gra jest bardzo poważna. Przypuśćmy, że Protokóły przeczyta na świecie i zastanowi się nad nimi miljon europejczyków. Oświecenie może być puktem zwrotnym w dziejach całej polityki nowoczesnej. Jego następstw obliczyć niepodobna. Karty Syjonu odkryte za wcześnie. Możemy się spodziewać, że autentyczność Protokółów mimo całą oczywistość pochodzenia żydowskiego będzie silnie atakowana.

Można z góry przewidzieć, że będzie tak, jak w słynnej sprawie Dreyfussa, która udała się tak świetnie i wzbiła pychę żydowską do takiej megalomanji, że niepodobna było już dłużej utrzymać spokoju w głębi duszy syjońskiej.

Gdy nie można było zaprzeczyć faktowi zdrady tajemnic wojskowości francuskiej na korzyść Niemców, odwrócono kota ogonem. Wynajęto osobistość bez czci i wiary goja Esterhazego, fałszywego już nie świadka, ale obwinionego, postawiono go w sytuacji zapewniającej bezkarność fizyczną, słowem zakupiono jego imię gojowskie. Natomiast winowajcę żyda przedstawiono jako ofiarę antysemityzmu i nietolerancji, a oskarżający go sztab francuski w takiem świetle stanął jako niecny prowokator. Kunszt krętacki i kryminalistyczny żydów może nigdy nie przejawił się w postaci doskonalszej. Goje uwierzyli, że dziesiątki wybitnych oficerów patrjotów są to oszuści, a Dreyfuss — niewinna owieczka.

Świat wkrótce przeszedł nad sprawą do porządku dziennego. Kamień wpadł w wodę, powierzchnia zatoczyła kręgi, pozornie wody wróciły do spokoju. Pozornie...

Do sprawy Protokółów wciągnięta jest i masonerja. „Do chwili, gdy obejmiemy władzę, będziemy stwarzali i rozmnażali loże wolnomularskie we wszystkich państwach świata. Wciągniemy do lóż tych wszystkich przyszłych i obecnych działaczów wybitnych, bowiem te loże będą centralnym punktem informacyjnym i ośrodkiem wpływów. Wszystkie loże poddamy jednemu, znanemu tylko przez nas zarządowi złożonemu z mędrców naszych. Do stowarzyszeń tajnych zapisują się zwykle najchętniej aferzyści, karjerowicze i wogóle ludzie lekkomyślni, z którymi prowadzenie interesów nie będzie dla nas trudne. Jeżeli w świecie powstanie zamęt, będzie to znaczyło, że potrzebowaliśmy świat zamącić, aby jego zbyt wielka solidarność rozprysła się. Jeżeli zaś w łonie świata tego powstanie spisek, to na czele jego nie będzie stał nikt inny, jak tylko najwierniejszy z sług naszych. Nie wyobrażacie sobie nawet, jak łatwo najrozumniejszych gojów doprowadzić do naiwności nieświadomej, o ile przekonani są o wartości własnej, a jednocześnie jak łatwo przy pomocy najmniejszego niepowodzenia, bodajby braku oklasków, pozbawić ich pewności siebie i doprowadzić do zupełnej uległości, skoro tylko zapewnić im nowe powodzenie. O ile nasi

lekceważą powodzenie, byle przeprowadzić dany plan, o tyle goje gotowi są zaniedbać wszelkie plany dla chwilowego powodzenia".

Na ten ciężki zarzut masoni powinni odpowiedzieć i wytłumaczyć. Albo ubliżającą jest dla nich rola narzędzia i patronat żydowski, jeżeli są tymi „naiwnymi gojami". Albo rzeczywiście tak jest i wtedy będą, bo muszą, zwalczali autentyczność Protokółów.

Sprawa o tę autentyczność, która jest przecież oczywistością, bo książka jest niezaprzeczenie genjalna, już się zażarcie wytoczyła na teren Zachodni. Dla żydów, w pomyśleniu niepodobieństw niema. „Gdy zechcemy — wmówimy w was że lewo jest prawo, a prawo jest lewo".

Już paryski tygodnik żydowski „Jewrejska trybuna" pisze, że Ginzberg wcale nie jest autorem książki. Któż jest? Już się znaleźli świadkowie, nowi Esterhazowie. Oto znakomitymi autorami Protokółów mają być... Kto? Agenci carskiej policji rosyjskiej niejacy Manusewicz — Monojłow i Gołowińskij, słowem autentyczna czarna sotnia. A świadczy kto? niejaka księżna Katarzyna Radziwiłłowa i niejaka Henryka Herblett. I rzecz starym wypróbowanym, tylekroć udanym sposobem prowadzi się do labiryntu powikłań, spisków i międzynarodowych podziemi.

Zdaje się, że tym razem nie uda się tak, jak z Dreyfusem. Nawet „naiwny goj", byle nie wciągnięty w tajne konjuktury żydowskie, przeczytawszy Protokóły zdumieje wobec zawartej tam straszliwej prawdy psychicznej, objawiającej się czelnie w powojennej historji Europy.

I z pewnością rozśmieje się gdy wmawiać mu będą, że na taki genjalny traktat psychologiczny mógł się zdobyć szpieg jakiegokolwiek rządu i do tego nie żyd. Jest to struna przeciągnięta. Ale próbować, co szkodzi?

Inne pytanie, czy plan Ginzberga, lub jego współwyznawcy, plan Syjonu, powiedzie się? Plan, do którego wykonania zaprzęgnięto Anglję Lloyd-George'a, nęcąc ją obietnicą utrzymania hegomonji na świecie, wyznaczając jej rolę starożytnej Kartaginy? Początkowo przeznaczono za wykonawcę tak zwaną Ligę Narodów, ale ta od poczęcia okazała się bezwładną. Instynkt narodów, tych narodów, dla których usidlenia była przeznaczona, wyraził jej odrazu votum nieufności. Syjon

przeniósł się do Anglji. Polityka europejska znalazła się w nowej, acz już zupełnie wyraźnej sytuacji.

Co zwycięży? Czy wola indywiduów sharmonizowana w wolne państwa, albowiem do tego dąży rasa europejska, czy despotyzm idei semickiej, utrzymujący jaki taki ład przez organizację niewolników? Odwieczne pytanie: Rzym czy Kartagina? Hannibal czy Scypion? Życie czy więzienie? Konstytucja czy Jahwe? Produkcja czy handel? Sprawa przedstawia się w stu obliczach, ale grupujących się tylko w dwa szeregi.

Napróżno broni się od walki centrum społeczeństw, ludzie spokojni, rozważni, przywiązani do miary, za wygodni w swoim kwietyzmie. Nie jesteśmy w okresie kwitnięcia fijołków. Trumny przybrane w białe kwiaty, pierś życia przypina czerwone róże. Propaganda pacyfizmu w tej chwili jest usypianiem w celu śmiertelnej napaści. To centrum, falanga ludzi spokojnych i rozważnych musi stanąć do walki czynnej o wolność indywiduum, aby rozumną przemocą okiełzać warjackie uniwersalistyczne pomysły. Kaftan bezpieczeństwa nałożyć trzeba szaleńcom, usiłującym zniszczyć zdrowie i rozkosz życia. I nie słowami da się to zrobić. Kształtująca się forma wymaga normy.

Jeżeli kto przypatruje się bacznie i umiejętnie płynącemu życiu polskiemu, bo zwracam się w tej chwili ad domum meum, dostrzeże z łatwością, że ręka niewidzialna wypowiedziała wojnę bez pardonu przedewszystkiem inicjatywie jednostek. W „Protokółach Mędrców Syjonu" napisano: Największym wrogiem naszych planów jest inicjatywa osobista. Jeżeli jest genjalna, wówczas może dokazać więcej niż miljony ludzi śród których rozsieliśmy waśń. Musimy tak pokierować wychowaniem społeczeństw gojów, aby wobec każdej sprawy, wymagającej inicjatywy, opuszczali ręce w bezradnej bezczynności".

Cóż, czy to wiadomość z księżyca? Ale wy „bydło gojowskie" wmówią w was, że Protokóły, pisał żandarm dla cara *).

IGNACY OKSZA GRABOWSKI.

---

*) Niewielka ilość „Protokółów Syjonu" jest do nabycia w redakcji „Placówki". Cenn książki Mk. 500, dochód przeznaczony na cele społeczne. Dla prenumeratorów „Placówki" 20°|₀ ustępstwa.

WYSTAWA POŚMIERTNA

Stanisława Lentza

Z tej samej ideologji, co Chełmoński, Brandt i Wierusz-Kowalski wyrósł i St. Lentz, wprawdzie młodszy od nich wiekiem, lecz blisko spokrewniony twórczemi instynktami — tem zaś tylko różni się od klasyków polskiego realizmu, że w miejsce „opiłych wódką twarzy“ (jak skarży się krytyk polski z roku 1880) i „stepowych oczajduszów“ maluje „brutalną prawdę miasta“.

Kostjum holenderski, zależność od Halsa, Blommersa, Mesdaga i innych malarzy holenderskich jest tylko następstwem realistycznych upodobań, zwrotem do praźródeł swobody i radości niefrasobliwej, tak po prostu, po ludzku objawiającej się użyciem żywota przy pełnej misie i zdrowiem tryskającem z czerwonych policzków.

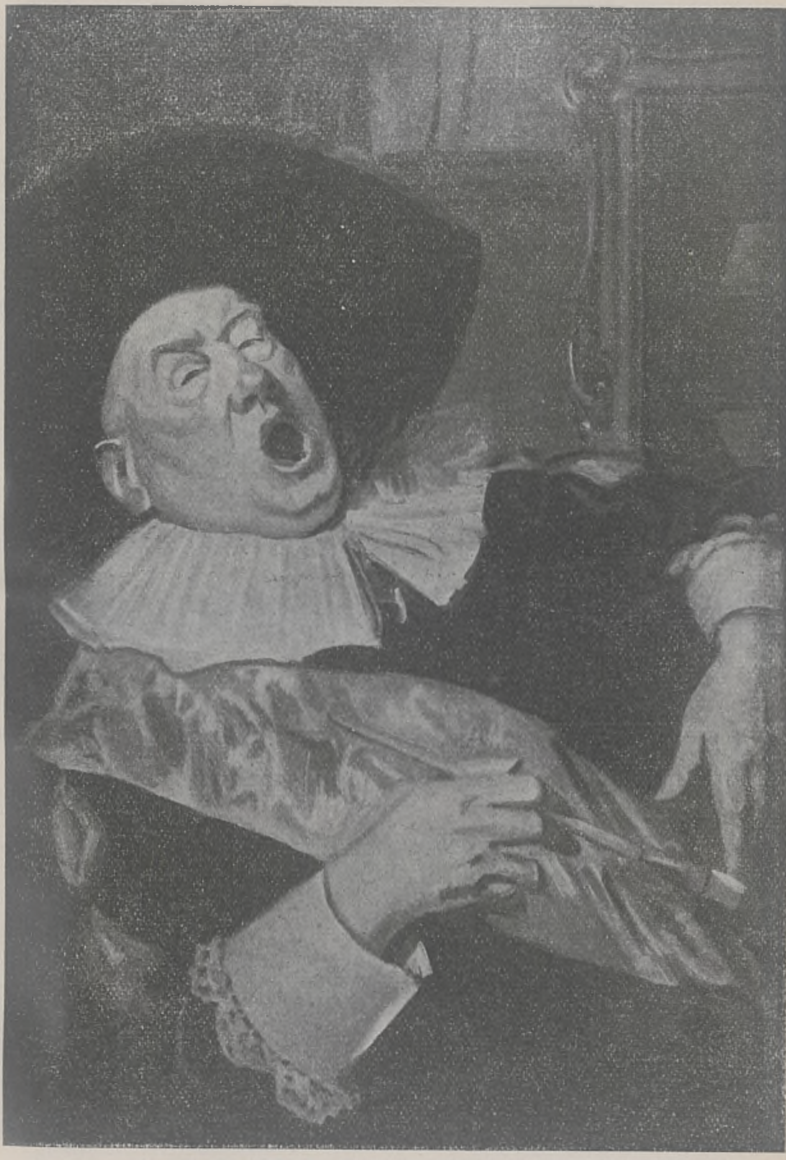
Kaprys, który kazał artyście przebierać Frenkla w kostjum holenderskiego birbanta lub malować rodzajowe sceny w rodzaju „Uczty z Saskią“ nastręczał aż nadto dowodów, że artysta przeżywa po raz wtóry te sensacje, które ożywiały Halsa i Haarlemczyków.

Lecz tak, jak istotą sztuki Chełmońskiego i Brandta nie były „opite wódką twarze“ ani „stepowi oczajdusze“ tak samo holenderskość St. Lentza nie wypełnia istoty jego twórczości, ale jest taką samą siestą twórczą, jak dla dobrego poety tłómaczenie obcego arcydzieła.

Po odbyciu studjów w warszawskiej szkole rysunkowej, w krakowskiej Akademji u Matejki, następnie w Monachjum u prof. Wagnera i w Paryżu w szkole prof. Julienne'a osiadł St. Lentz w r. 1887 na stałe w Warszawie a były to czasy wieszczące zbliżanie się nowej wiosny malarskiej i zawziętego boju o hasła „sztuka dla sztuki“ i o kolor w malarstwie.

Walka pochłaniała umysły, roznamiętniała serca, rozpalała mózgi, ale wśród niej dojrzał polski impresjonizm, mogący się pochlubić takimi artystami jak Malczewski, Stanisławski, Wyczółkowski, Wyspiański i cała krakowska plejada „Sztuki“.

St. Lentz nie przyjmował w tym boju udziału, gdyż widział, że twórczość jego nie dąży w kierunku barwnych ujęć i kolorystyki, ale wnika w dziedzinę psychiki ludzkiej.



Autoportret. St. Lentz.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

Od roku 1890, t. j. od pierwszych podobizn: Zaruskiego i Rajchmana do nagrodzonego na lwowskiej wystawie (1894) portretu Święcickiego to jeden etap borykania się z formą, z rysunkiem, pokonywanie piętrzących się trudności kompozycyjnych przy widocznem lubowaniu się w charakterystyce posuniętej aż do karykatury.

A po tych pierwszych próbach uwieńczonych lwowskiem odznaczeniem nowy wysiłek nad opanowaniem bryły, zagadnień kształtu i ruchu, by krew zaczęła pulsować w żyłach i zbudziło się życie w zmartwiałych kształtach.

Portrety Gawalewicza (1896), ks. Lubomirskiego (1898, 1902), Korzona (1894), Frenkla (1901), Kallenbacha (1902), nadewszystko portret Jabłonowskiego (w zbiorach Zachęty) z temi dziełami, na których śledzić można żmudny i zawzięty upór zmierzający do opanowania formy, która właśnie w pracach impresjonistów stała się treścią obrazów i jedynym celem sztuki.

Jedną zaś z cech stylowości St. Lentza jest pochopność do karykatury, której zatrzeć nie mogą i osłabić najdalej idące pragnienia — monumentalności sztuki.

Od najwcześniejszej młodości pochłaniała karykatura umysł St. Lentza.

Karykatury zaczął tworzyć St. Lentz w Akademji krakowskiej, nie zaniechał ich w pracowni monachijskiej prof. Wagnera, to samo czynił w Paryżu, a po powrocie do Warszawy brał na ołówek wszystko, cokolwiek było głośniejsze lub więcej znane. W ciągu lat 20 nie było w Warszawie popularnej osobistości, z którejby St. Lentz nie zrobił karykatury.

Podobnie jednak jak portret Lentza potrąca często o karykaturalność, tak karykatura jego staje się często studjum portretowem.

Od roku 1903—1914 z przerwą w roku 1904 spędza St. Lentz letnie miesiące na wybrzeżu holenderskiem, czyniąc częste wycieczki do pobliskich miast na studja w muzeach.

Pomimo jednak bliskiego współżycia ze sztuką Hagi i Amsterdamu wątłymi tylko węzłami spojona jest twórczość St. Lentza z malarstwem holenderskiem. I chociaż współczesna krytyka jak i sam artysta wierzą niezłomnie w usta-

lone już pokrewieństwo, to jednak w tym właśnie najbujniejszym okresie St. Lentza odzywa się dawny monachijczyk, uczeń Wagnera i Dachauerczyków.

Nie Hals ale Leibl, nie Rembrandt, Hals i Terborch ale Lenbach stają w jednym szeregu z Lentzem, nie przewyższają go w niczem, ale jako równi i kongenjalni stwarzają nową gałąź malarstwa charakterystycznego, które stoi na pograniczu karykatury i naturalistycznego ujmowania zjawisk życiowych.

Po portrecie aktora Kamińskiego (1905) i Kosiakiewicza (1905), wystawia Lentz obok innych płócien jak „Wilki morskie“ (1906), „Naprawianie sieci“ (1906), portret p. H. (1906) — trzy podobizny, które stawiają artystę w rzędzie najwybitniejszych polskich portrecistów. Są to: — Portret L. Górskiego (1906), portret Arcybiskupa Popiela (1907) i portret bar. Kronenberga (1907).

Równie prostemi i pewnemi w formie są następne trzy męskie portrety z r. 1908, wystawione w „Odłamie“. Malowane z pańska i dyskretne w akcesorjach, jak je nazywa A. Potocki (Głos Warszawski 1908 Nr. 37. Niewątpliwie jednak najwyższem dziełem tych lat jest portret Mireckiego (1909), w którym materja cielesna przesłoniła się pod naporem siły wewnętrznej i charakterystyki skupionej w parze przyćmionych oczu oraz uduchowionej twarzy.

Ale i ciało ciężkie, niemal Gargantuowe, pojęte jako żyjąca bryła wywołać może tą samą złudę wewnętrznej rzeczywistości, jak udawadnia „Duet“ (1909) czyli portret kompozycyjny, przedstawiający artystę i przyjaciela jego Frenkla. Duet i portret Mireckiego to dwa bieguny poglądów artystycznych, tak różne, jak różną jest elegja od groteski lub Hamlet od Falstafa.

Dwa zasadniczo odrębne ujęcia modela dają miarę skali artystycznej St. Lentza i ujawniają się najharmonijniej zgrane i ujarzmione w dziełach „Fanfara“ (1910), „Ostatni profesorowie“ (1913), „Członkowie Towarzystwa Naukowego“ (1912), „Baczność“ (1917), „Wesoła trójka“ (1918).

I nie jest to już sztuka holenderska ani nawet dzieła pobratymcze ze zbiorowemi portretami amsterdamskich sukienników lub kupców z Leyden, ale prawie matejkowskie czarodziejstwo, które z wielu szczegółów dla siebie skończonych umiało złożyć sumę dającą dopiero dzieło wieczne,

A potem kolejno następowały nowe portrety, a to: „Portret hr. Tyszkiewicza“ (1910), „Portret p. B.“ (1911), „Portret p. K.“ (1911), „Autoportret“ (1911), w stylu heroicznym jak go nazywa współczesna krytyka. „Portret niemłodej damy“ (1911) i „Portret Jabłonowskiego“ nagrodzony w r. 1912 złotym medalem w Paryżu, podobizna p. B. (1913), p. G. (1913), p. H, (1914), a prócz tego szereg prac rodzajowych, jak „Dziewczyna wiejska“ (1910), studja rybaków, powtarzane w kilku odmianach w ciągu 1910, 1911, 1912 r. i „Pieśń dziadowska“ (1914) stanowią plon tych lat pracowitych.

Nadeszła wojna a wraz z nią zbudziły się nowe nadzieje. St. Lentz podzielał dolę miasta i sztuki warszawskiej poniechanej ciężkiemu losowi.

Malował niewiele, tak niewiele, że w r. 1915 jeden tylko obraz „Studjum z pomarańczą“ wystawił w salonie.

Dopiero napływ nowego żywiołu polskiego do stolicy zbudził uśpione życie.

Zarówno St. Lentz jak i inni artyści otrząsnęli się z blisko dwuletniej śpiączki.

Więc już nie jeden obraz St. Lentza ale trzynaście, notuje katalog Zachęty z r. 1916.

Wśród nowych obrazów St. Lentza pojawiają się polskie mundury i motywy wojenne.

Artysta ogląda się za swojemi tematami i szuka swych typów.

W „Pułku dzieci krakowskich“ (1916) w tej najwaleczniejszej i ciągle biwakującej czeredzie krakowskich Antków, odnajduje się artysta.

A choć ma po za sobą tyle dzieł statecznych i dostojnych, a do dawnej galerji patrycjuszów dodaje nowych senatorów i nowe płótna, jak trzy autoportrety (1916, 1917, 1918), portret Frenkla (1916), Askenazego (1916), ks. Zdzisława Lubomirskiego (1916), Holewińskiego (1916), St. Bruna (1916), Kowalskiego (1916), Henryka Sienkiewicza (1917), i wiele innych podobizn zawsze świetnych i zawsze charakterystycznych, to jednak powagę doktorów, adwokatów, kupców i finansistów przyćmiewa głośny śmiech krakowskich łobuzów, których przyodziano w szary mundur i kazano zawojować Europę w imię Polski dla Habsburgów.

Powstająca i zmartwychwstała Ojczyzna zastała St. Lentza krzepko uwijającego się przy swym warsztacie.

Artysta wyszedł ją powitać w pełni nowych sił, jakby krew świeża bluznęła mu w żyły, i niczem nie były zbiegłe lata pracy, dzieła liczne i pyszne i trudy mozolne i pokonane przeciwności.

Przyszła nowa wiosna...

I tak jak za czasów minionej młodości rwie go pęd życia, ponosi radość i rozpiera nadmiar.

Otwierają się więc podwoje „Karczmy" (1918, 1920), hula „Wesoła trójka" (1918), wygrywa „Duety" (1918), biegnie w „Zaloty" (1919) i ćmi w oczach biel ciała kobiecego.

Powstaje wtedy jeden jedyny w całej twórczości St. Lentza akt: „Zuzanna i dwaj starcy" (1920).

Akt gorący, wypieszczony, przyciągający i tak namiętny jak namiętnem jest słońce dogorywającej jesieni.

W odstępach między powstawaniem radosnych a niekiedy nawet swawolnych dzieł ukazują się konterfekty polskich żołnierzy i oficerów, portret generała J. Hallera (1920) i zwycięskiego wodza J. Szeptyckiego (1920).

A poza utrwaleniem pierwszych polskich żołnierzy i oficerów zbiera artystę chęć przekazania potomności podobizn poselskich z pierwszego Sejmu.

Nie zdołał jednakże St. Lentz wykonać zamierzonej pracy, wydał tylko pierwszą serję złożoną z 20 autolitografji.

W rozkwicie tej drugiej młodości, w pełni szczęścia i upojenia zjawiła się śmierć.

Stanisław Lentz zmarł 19 października 1920 r.

WITOŁD BUNIKIEWICZ.

Pokrakowska pomsta.

Zamieściłem ostatniemi czasy w „Rzeczypospolitej“ dwa kolejno przeciw prądowi płynące artykulęta, reasumujące wrażenia, jakie na mnie zrobił ostatnio królewski Kraków. Z wielką niechęcią przepuścił je redaktor Stroński, skastrowawszy personaliter mocno i pokiereszowane, utemperowane, zretuszowane wpuszczając do druku. Nie pomogło to bynajmniej. Kraków a raczej to, co w nim jest pokrakowskiego obraził się śmiertelnie i wzamian rewanżując zmobilizował pfejletonistów swoich pism, a raczej niektórych piśmideł i ci, nastawiwszy w moją stronę maszyny Talarda, ujęli w podmyte łapy „szlauchy“ i zaczęli lać płynne i niewonne exkrementalia, magazynowane w redakcyjnych spelunkach. Przy tej okazji dostało się i sporo Warszawie, do której tamtejsza czerń prowincjonalna żywi podskórną, niewytłómaczalną animozję. Ordynarna wścieklizna anonimowych zresztą bękartów publicystyki osobiście nie sprawia mi najmniejszej przykrości a wprost przeciwnie negatywną reklamą podraźnia do dalszej dyffamacji śmieszniutkiej mieściny, chorej przewlekle na wielgomanję. Ciskające się na mnie infusoria z krakowskiego partykularza, obluzgując mi golenie swem rozwodnionem cerebrum, zdradzają atoli i demaskują przy tej okazji nastroje uczuciowe, jakie w tem mieście, w którem jest najwięcej pluskiew i schöngejstów w „wideńskim fasonie“ panują dla reszty Polski i dla jej stolicy. I tu dopiero zaczyna się moment interesujący szeroki ogół, tu dopiero kwestja opadnięcia mnie przez zgraję fejletonowych myrmidonów staje się sprawą publiczną.

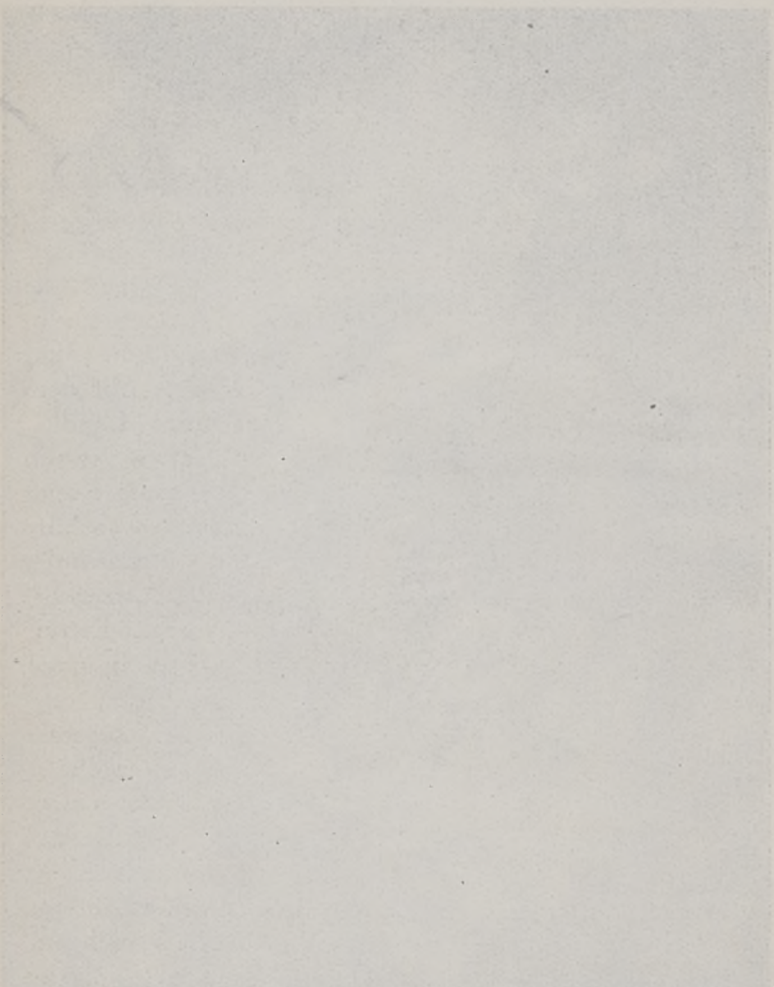
Z kołtunerją i łykami krakowskimi wojnę prowadzę nie od wczoraj a od lat dwudziestu a raczej od pierwszych moich humoresek i nowel i jednoaktowych dramatów. Podgatunek krakowskiego Pollacka, Krakauera, Galicjanuszki, padamdonóżka, centusia, Lodomerjanina drażnił moją wątrobę satyryczną od dziecka. Pokraczność psychiczna tego zwyrodnienia polskości narzuciła się mojej obserwacji po raz pierwszy, gdy miałem lat siedem i kiedy dostrzegłem jak człowiek rangi: alskultant idąc na spacer z człowiekiem rangi: adjunkt, szybko przeskakiwał na stronę lewą, aby wyższą rangę mieć po prawej ręce; człowiek zaś rangi: koncypista przed człowie-

kiem rangi: substytut stał z kapeluszem w ręce. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem: serwilizm t. j. dominantę, rys główny, kość pacierzową charakteru dzielnicowego: serwilizm, oportunizm, ugodowość, kompromisowość, płaszczenie się przed każdą siłą. Nie subordynację, nie poczucie hierarchji, nie szacunek dla władzy, nie uznanie autorytetu, nie cześć dla kompetencji !a tylko i właśnie serwilizm. Ten rys generalny w psychice Galileuszów coprawda głównie Zachodnich, a jeszcze specyficzniej krakowskich pozostał nadal nietknięty i nienaruszony. Zmienne są tylko objekty serwilizmu. Wczoraj był Wiedeń, dziś są Wierzchosławice, wczoraj była dynastja Habsburgów, dziś jest P. S. L„, jutro Syjon a w międzyczasie był Hindenburg, Ludendorf, poczem P. P. S. Namiętność płaszczenia się, padania do nóżek, całowanie rączek i ruci czy to szefowi czy prezesowi czy okupantowi czy potentatom partji opartych na masach jest główną i wpadającą w oczy cnotą przeciętnego Krakauera. Na tej namiętności opierała się cała ideologja polityczna Stańczyków, narzucana jako lojalność na trzy fronty i innym zaborom. Z Krakowa szła ewangelja ugody do Warszawy i Poznania, stąd tylko czerpali swe soki moralne skrajni ugodowcy i realiści i warszawscy i wielkopolscy. Być zawsze po lewej stronie wyższej i większej potęgi i stać przed nią zawsze z kapeluszem w ręku. W imię tego padamdonogowania organizował Kraków zawsze „straże pożarne“ dla gaszenia wszelkich wolnościowych mrzonek. Polska umiała być w sarkofagach, jubileuszach, obchodach i toastach, ale nie w buntach i „sprzeciwianiach się złu“. W imię tego rączkocałowania przed wojną klęczeli Tarnowscy i Potoccy przed Habsburgami a dzisiaj zrywa każdy Tarnowski kapelusz z głowy, gdy na schodach spotyka ministra Rataja lub posła Bryla. Zmieniły się tylko objekty i pomieniano się na rolę. Jak dawniej chłop serwilista z drżeniem serca i dygotaniem portek szedł na święcone w delegacji do pałacu Potockich pod Baranami lub łyk masarz czy winiarz pocił się z pokory w swym szluzroku i szapokłaku, gdy się znalazł w dość zresztą prymitywnych apartamentach hrabiowskich na Szlaku, tak znowuż dziś każdy galicyjski Tarnowski czy Potocki gnie się w pokorze i rumieni z radości, gdy go zaprosi na swe salony burmistrzowskie spadkobierca Wierzynków, trywialny w każdym



Zuzanna i dwaj starcy. St. Lentz.

Tow. Zach. Szt. Pięk.



cału pan Kantek Fedorowicz. W międzyczasie w pierwszym roku wojny europejskiej w kilku rodzinach politycznych, zgrupowanych koło „Czasu“, brano na gwałt lekcje rosyjskiego języka, aby w razie czego broń Boże, odrazu jednak móc zawiązać mocny kontakt z nowymi „hofratami“ i dalej siedzieć mocno w siodle... przy wielkim ołtarzu... przy żłobie ugody i kompromisu. A kiedy po zajęciu Lwowa przez Rosjan przyjechało do Warszawy kilku młodych Galicjan z pakami pierwszego numeru pewnego nowego tygodnika, odrazu opowiadając o nowych okupantach wpadali w taki gorący entuzjazm dla Bobrinskiego i Czartoryjskija z jakim inni Galicjanie rozpowiadali o... Bobrzyńskim i Czartoryskich. Dopiero natryski zimnej wody aplikowane im na rozgorączkowane mózgi przez nas ententystów (przezywanych przez germanofilską mafję moskalofilami) ochłodziły w zapałach Lodomerjan stających z kapeluszem w ręku przed każdym „substytutem“ potęgi w myśl wiedeńskiego przysłowia: „Mit dem Hute in der Hand kommst du durch das ganze Land“... Gdyby „Moskale“ trzymali byli Galicję dłużej w swych łapach i gdyby byli zajęli Kraków, to niestety właśnie z tego Krakowa, szczególnie z okolicy redakcji „Czasu“ wyszłoby znowu hasło „rozwagi i rozsądku“, „liczenia się z czasami“, „nie igrania z ogniem“, „naginania się do sytuacji“ „trzeźwości“. W tych wszystkich bowiem echt Krakauerach: Estreicherach i Haeckerach, Flachach i Flatauach, niema żadnego germanofilstwa integralnego i ideowego, niema nic z czystego fanatyzmu doktrynerskiego, jaki był np. w nieszczęsnych ale skroś uczciwych, bezinteresownych i szacunku godnych Grużewskich, Studnickich, Lutomskich, Kulczyckich; p.p. Flach i Hoesick choć rasowo, obyczajowo, psychicznie, intelektualnie skroś kleinbürgerlich — niemieccy zdolni są nawet do szczerych afektów dla francuskiej kultury, literatury, sztuki, instynktu atoli rasy polskiej niema w nich ani szczypty, jak niema też ani szczypty instynktu rasy polskiej w zaciekłym zamaskowanym żydusie, sterującym obecnie politycznie „Naprzodem“ Haeckerze lub w prowadzącym politycznie „Czas“ prof. dr. rektorze Estreicherze, psychicznie powrotnym rasowym Germaninie (Oesterreicherze). Tego typu intelektualnego, obyczajowego, psychicznego, rasowego Estreicherów, Haeckerów, Hoesicków, Flachów egzemplarze

analogiczne a nawet sobowtórne można spotkać w każdem mieście niemieckim powyżej sto tysięcy mieszkańców liczącem; Estreicher jest ein privat-dozent heidelberski, Hoesick in Leipzig, Flach in Graz, genosse, Haecker ein szreibjingełes aus Mährisch-Ostrau. I tu zdaje się wchodzimy in medias res zagadnienia, i trafiamy może w sedno. Co w krakauerach jest rażąco antypatycznego to to niedopolszczenie się kompletne i bez reszty tamtejszych elementów rasowo i genetycznie germańskich.

Ponieważ w Galicję przesączała się kultura niemiecka z austryjacka rozcieńczona i w jej znacznie mniej brutalnych, delikatniejszych, miększych formach, ba nawet przez wiedeńskie sito walców i baroka i wysokiej kultury towarzyskiej i artystycznej przecedzona, przeto w genetycznych rasowych Niemcach galicyjskich proces asymilowania się do żywiołów autochtonicznych nie nastąpił w tak szybkiej i radykalnej formie jak np. w Niemcach polszczących się w Wielkopolsce w pierwszej połowie XIX wieku, lub w dynastjach i rodzinach warszawskich przemysłowców i fabrykantów Nadto np. genetyczni i rasowi Niemcy w Królestwie organizowali wielki przemysł, handel, życie gospodarcze, a w Galicji niezupełnie bez reszty dopolszczeni genetyczni Niemcy szli w biurokrację, w administrację, w wojsko pozostając w ciągłej komunikacji i styczności z Widniem i z Niemcami austrjackimi. To też na początku europejskiej wojny mogliśmy być świadkami oryginalnego zjawiska, że, podczas gdy bardzo mało lub całkiem niespolszczeni Niemcy łódzcy, częstochowscy, żyrardowscy inwazję pruską przyjęli ze zgrzytaniem zębów ponieważ to kolidowało z ich interesami ekonomicznymi, genetyczni rasowi ex-Niemcy galicyjscy w komplecie stanęli po stronie państw centralnych. Organizacja i wydawnictwa N. K. N. roją się od nazwisk niemieckich, tak że pod względem brzmienia ich przeszło 35% w N. K. N. był niemiecki. Wśród inicjatorów Legjonów niektórzy dodawali sobie przydomki polskie (Norwid — Neugebauer) ale niektórzy nawet bardzo później prononsowani w kierunku Ententy podpisywali się jeszcze w pierwszych czasach z przydomkami niemieckimi (von Hallenburg). Orjentacja antyrosyjska i „niepodległościowa“ harmonizowała tu tylko na tle galicyjskiem z jakimś wstecznem atawistycznem rasowem poczuciem pangermańskiem. Niektóre artykuły wstępne p. Estreichera w Czasie tłomaczone

na niemieckie, mogły się równie dobrze pojawić w Norddeutsche Allgemeine lub w Neue Freie Presse. Wszyscy zaś żydowscy publicyści galicyjscy szczując i judząc na Ententę i Rosję mogli wygodnie odziewać to w frazeologję patrjotyczną, heroiczną i romantyczną. Goldscheider w Wiedniu, a Feldman w Berlinie swoją robotę pour le roi de Prusse wywodzili prosto z testamentu wieszczów naszych, a tensam łapserdaczyna obrzezaniec, który denuncjował do K-Stelle i A. O. K. Zamorskich, Cieńskich, Skarbków, Grabskich i innych Polaków z krwi i kości, mógł sobie swobodnie dwa razy na dzień cytować Mickiewicza lub Wyspiańskiego; dr. Taubenschlag lub Zygmunt Rosner byli „patrjotami" a Zamoyski i Dmowski, Reymont i Kasprowicz... Targowiczanami... W Krakowie specjalnie te elementy ex-niemieckie i organicznie niedopolszczone odegrały rozstrzygającą rolę w presji na opinję publiczną; Germany, Angermany, Zolle, Fierichy, Habichty, Hartleby, Kirchmajery, Leowie, Hausnery, Englische, Flattauy i wielu innych mocno przyczynili się do skonsolidowania orjentacji mittel-europejskiej. „Gute Polen und Gott sei dank keine Slaven" tak ich określił jeden z publicystów niemieckich, którzy to publicyści, nawiasem mówiąc, w artykułach swoich stale odróżniali w terminologji „Polen" od „Galizier"; w zbiorach swoich wycinków z gazet niemieckich tempore belli posiadam nawet całe artykuły (Frankfurter-Zeitung, Vossische-Zeitung) poświęcone wykazaniu różnicy między „panslavistische Polen" a „reelle Galizianer", potępiające pierwszych, a wychwalające „kulturę polityczną" tych drugich.

O tej to kulturze politycznej pomówimy sobie raz dzięki gościnności „Placówki" cokolwieczek szczerzej i dłużej...

(d. c. n.) *ADOLF NOWACZYŃSKI.*

Bracia.

(Dokończenie).

Czwartek — rano.

Czasem przelotne słowo, spojrzenie porzuczone na skręcie ulicy, zdanie wyrwane z szeregu najobojętniejszych, myśl zbudzona niespodzianie, a natchniona małoznacznem wydarzeniem — wszystkie te rzeczy i sprawy, które są pozornie niczem, stają się raptem ważkiemi i brzemiennemi w skutki, nabierają ciężaru stupudowego i wypełniają świadomością wypychając z niej wszystkie inne. Z pozornie nieznacznych przyczyn rodzą się wspaniałe kwiaty natchnień kierowniczych i wydają najwspanialsze owoce życia. Są to momenty, fakty, słowa, których narodzin napróżno szukaliśmy w nas samych lub w otoczeniu naszem, bo one objawiając się nam w przeraźliwym skrócie pokazują nam raptownie naszą treść własną i tego co jest wokół nas, a o czem wiemy tylko tyle, że jest tajemnicą. Już sam wreszcie fakt, że takie rzeczy się dzieją, że towarzyszą nam i wskazują cele, ideały i dążenia, tłumaczy nam i otwiera oczy na istnienie cudu, który przecież jest także jednym z tych niepojętych skrótów ujawniających szerokie perspektywy życia, śmierci i wiekuistości.

Żadne wyjaśnienie choćby poparte tysiącem dowodów „psychologicznych“, eksperymentów introspekcji, krytyki, analizy czy innych grzechów głównych wiedzy współczesnej, nie zdoła rozświetlić tego mroku tajemnic, który nas na każdym kroku i o każdej chwili otacza.

Jestem człowiekiem, „nieuczonym“, choć byłem kiedyś zapalonym wielbicielem różnego kalibru wykładów naukowych i połknąłem kilkanaście tomów psychologji, nie przebaczając oczywiście wielotomowym „wstępom do filozofji“, niepojętym systemom filozoficznym etc. Byłem z tego wściekle dumny i gdyby tak poszło dalej, byłbym już dziś może docentem uniwersytetu lub conajmniej kierownikiem jakiejś pracowni naukowej, papierową powagą i autorytetem szczeniaków zapisujących się na uniwersytet — szczęściem potem byłem na wojnie.

W rowach strzeleckich na Litwie, Wołyniu, czy Besarabji, w ziąbie jesiennych marszów, w mgle patrolowań przed świtaniem, w skwarze odpoczynków południowych, w kirze

noclegów na gołej ziemi, w nędzy, rozpuście i znoju, kiedy nocą pierś zmożona snem słuchała bicia serca przyrody i wciągała w siebie oddech Boga i bogów, w kaszlu, udręczeniu, krwi, spiekocie i brudzie doli żołnierskiej ciężkiej, wyplułem ze siebie całą niestrawną mądrość podręczników, syntez i analiz i to, czemu przysłuchiwałem się na biwakach, kiedy przed nowym marszem czy nową bitwą gwarzy się o życiu, śmierci, miłości i tajemnicy odwiecznej, przeplatając powagę śmiechem i grubym żartem i to, o czem na kwaterach opowiadali mi nieraz chłopi ruscy, ludzie żyjący z przyrody i w przyrodzie — wszystko to skrzętnie i z radością zgarniałem w głąb duszy i spisywałem skrzętnie, a resztę dopowiedziało mi własne serce i własna myśl oczyszczona z brudów książkowych rządności i oswobodzona z przesądów tępej wiedzy akademickiej.

Od tych niezapomnianych lat wojny, lat włóczęgi, mozołów cierpień i hulanek minęło sporo czasu; zostałem urzędnikiem Rzeczpospolitej; żyłem i żyję swobodnie i spokojnie, a wiara, nadzieja i miłość towarzyszyły mi wciąż i szły za mną mimo wybryków, pijatyk i czasowego wyuzdania — aż wreszcie stało się to, do czego mię musiała doprowadzić konsekwencja mego „systemu“... Mego systemu, który wszystko wyjaśnia, a nic nie tłómaczy...

Chwilowy przestrach, który ogarnął mną w ową noc — częściowo minął. Po nocy spędzonej w szaleństwie trwogi i udręczeniu niepewności, które rosły w miarę jak nic się wokół mnie nie działo, nadszedł dzień zwątpienia! Śmiałem się przykpiwując ze siebie i usiłując objaśniać wszystko znamieniem chwilowem, halucynacją rozgorączkowanych zmysłów, ale wnet poczułem pustą czczość mojej pseudotrzeźwości i pojąłem, że się z niej nieda wykroić prawdy.

— Miałaby więc—odpowiadał mi na te wszystkie bzdury, które myśl wyciągała z kosza zapleśniałych komunałów, mój mądry instynkt i moja nabyta przez cierpienie, wojnę i miłość, wiara — miałaby być t a c h w i l a, nad wszystko potężna, to odczucie duszy świata czy raczej bezmiernych ilości duchów, które są na każdem miejscu i na każdym kroku obok nas, ów cudowny moment, w którym drogą fenomenalnych komplikacyj ucieleśniona w kształcie zmysłowo dostrzegalnym objawiła mi się treść tego, co wokół nas jest zawsze, wtenczas,

kiedy dusza była w możliwie najsilniejszem i najdoskonalszem napięciu — miałaby być mdłem przywidzeniem, dziecięcym strachem czy objawem psychozy delirycznej?! Czy mam prawo w obecnej chwili, kiedy jestem tylko marnem, znużonem bezsennością zwierzęciem uważać wszystko za niebyłe, za halucynację czy coś podobnego? Nie — po stokroć nie! To był fakt! To było objawienie! To był widomy znak Niepoznawalnego, wzywający do potężnego czynu duszy i ciała, do skupienia się w sobie, do przeduchowienia cielesności, do pogodzenia się z tem, co jest nieodwołalne!

Nie spierałem się długo z tym głosem, który spłynął skądsiś do wewnątrz mnie i natchnął wiarą cudowną i jestem teraz szczęśliwy mimo to wszystko, co mnie jeszcze może spotkać, mimo, że nie wiem, co będzie, że może padnę zmiażdżony w bezprzykładnej walce — — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Odtąd w szybkiem tempie potoczyły się wypadki. Walka, której tłem stały się nieprzebyte tereny mego ja i nieja wre na całym froncie mej duszy. Ja walczę światłem dziennem i sztucznem, ogniem ziemskim i ogniem, który we mnie płonie, oni nasyłają na mnie potworne roje duchów, demonów i krew pijących strzyg. W wiosenne, przepyszne noce nachodzi mię rozkoszna i przemożna tęsknota za kobietą i za całym światem codziennych trosk, spraw i uciech, oplata mię ramionami pieszczotliwemi i cudnemi, rozkoszna w każdym ruchu i zgięciu wiotka i wdzięczna i kusi mię, żeby powrócić w świat miniony i pokazuje mi wszystkie radości i zadowolenia, zabawy, uciechy i igraszki, w których kiedyś brałem udział i kobiety, które były mojemi i te których, pragnąłem tylko. — — —

Kiedyindziej zaś wkradał się jeszcze przed zmierzchem do mego pokoju pstry demon bezpłodnych marzeń i natchnień i stawał u drzwi drobny, niepozorny, skromny i czekał jak pies na moje skinienie...

Stał tak chwilę pokornie zgięty i bezsilny, uniżony i żebrzący, aby potem, korzystając z nieuwagi czy niemego przyzwolenia przekroczyć próg, rozpostrzeć się, wydłużyć się i wysunąć stokrotne, ruchliwe macki.. Zaczem stawał się wonnem, bujnem kwieciem — pleśnią, barwnym, puszystym nalotem, który zalegał i skrywał wszystko i rychło rósł i urastał w gęsty, rozdrgany, szumiący, śpiewający, huczący las;

zaduch woni, ciężki czad żywizny, ostre kolce barw i świateł wypełniały pokój i duszę moją; śnić zaczynałem pośród smukłych drzew, strzelistych kielichów stulistnych, mchów i paproci o ziemskich rzeczach mórz, lądów, puszcz, jezior, miast i oaz, upajając się narkotykiem, który szedł zewsząd od urocznego cielska potwora, z nieprzebranej piersi demona, który czekał tylko chwili zmroku, żeby mię osłabionego i pokonanego oddać w ręce wroga, rzucić pod stopy czarnych braci — — —

Walczyłem więc, broniłem się przed tym i tamtym i przed wieloma innymi. Wyparłem się wszelkiej słabości, wszelkich niemęskich tęsknot. Wyrzekłem się ludzi, napoju, kobiet, byleby zogniskować w sobie moc. Rozszerzam blask i jasność w sobie i wokół siebie. Walczę z nocą, z mrokiem i cieniem— nawet z własnym cieniem. Zmagam się z wszelkiem pragnieniem, żałobą i myślą o tem, co przeszło. Żyję z walki i dla walki i wreszcie doszedłem do tego, że nie jestem już tem, co niegdyś, mdłem źdźbłem trawy chybocącej na wietrze, ale silnem, korzenia miwspartem o grunt drzewcem, prężącem gałęzie do słońca, dawcy dnia, światła i życia.

Popołudniu.

Długo chodziłem w dzisiejszy poranek po sadzie. Wszystko płonie, skrzy, jaśnieje. Kwiaty, drzewa, murawa, woda, tysiące motyli, żuków i muszek — wszystko pije łakomie tysiącznemi usty z powietrza i słońca światło i ciepło. We mnie też one szerokiemi strumieniami wpływają i rozpłomieniają mnie — — —

Pojąłem: w tem jest moje zwycięstwo!

Przedwieczorem.

Już niedługo światła i dnia; potem wysnuje się ze wszech stron mrok i wypełzną ze swych nor oni — a ja — —

Nie pojmuję jak mogłem tyle czasu żyć w trwodze i lęku przed niemi. — — Późno się opamiętałem, ale lepiej później niż nigdy!

Rozumiem teraz co mam zrobić! Na liściu jabłoni, który przez otwarte okno wpadł do mego pokoju odczytałem wypisaną tajemnemi runami unerwienia przepowiednię: Mam wziąć w pierś swoją ogień i blask słońca i niemi jak archanielskim mieczem porazić noc.

Wieczór.

Nie wiem co te nikłe niepozorne a mściwe karły knują. Obecnie nie atakują mnie; jest spokój i jakby nieumówione zawieszenie broni. Może przycichły tylko w pozornej gnuśności gotując się do drapieżnego skoku? Może czekają tylko na moment stosowny?

Atoli ja już nie lękam się i c h. Wszystko wytrzymam, oprę się, pokonam, a jutro, kiedy ostatecznie spłynie w moją pierś, moje żyły, ciało i duszę nowa moc, wtedy, gdy słońce stanie na najwyższym punkcie błękitu — —

Piątek — rano.

Ocknąłem się na przedświtaniu. Kir nocy zdzierał się już, mętniał i szarzał na brzegach. W głąb jego zachodził już bronz, fjolet i purpura wstającego dnia. Potem pęki modrych, różowych i seledynowych strzał zaczęły razić mrok, który kurczył się, rzedł, malał, ginął i ginąc cierpiał, aż czuło się potężną i przenikającą rozkosz cudzego bólu. Noc karlała i mknęła w bezładnej ucieczce na zachód, na tabunach podartych strugami światła, zbezkształconych i oślepionych potworów; blask zaś dzienny rozgrzewał się wciąż i rozpalał do białości, podczas gdy tysiące przezroczych kryształów rozsypywało się po ziemi, wchłaniając w siebie cienie, męty i wilgocie. Był świt.

W moich zroszonych lepem upragnień oczach jawił się dzień w całej swej potędze i chwale nad truchłem zmarniałej nocy; słyszałem jeszcze jej skowyt w szeleście porannego wiatru, czułem jej łzy spadające z rosą poranną na ziemię — — aż wreszcie wbiegła na niebo krągła, złotoczerwona Kula słoneczna...

— — — — — — — — — — — — — — —

Patrzyłem nieraz ziemskiemi oczyma na wschód słońca— ale źle i fałszywie. Byłem zawsze tylko spektatorem obojętnym na ból i walkę żywiołów i miałem na sobie tylko pozę mędrka, wierszokletу lub malarza i nic więcej. Patrzyłem jak na coś, co wedle wiekowego konwenansu zwykliśmy uważać za piękne i konieczne. Patrzyłem jak na rzecz codzienną zarówno pewną jak to, że woda cieknie z góry w dolinę, że z ognia jest światło i dym, że, kiedy wezmę do ręki kamień poczuję jego ciężar. To było dla mnie pewne,



Godzinki. St. Lentz.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

nieodwołalne, konieczne i zgoła nie pojmowałem, że chwila, kiedy rodzi się nowy dzień, jest momentem walki, przełomu i niepewności, że może w obliczu bytu przyjść taka Noc, po której nie będzie już Dnia albo Dzień, po którym nie będzie Nocy, że wszystko się dzieje za interwencją nadświadomości kosmicznych, dla których konieczność — jak ją ludzie pojmują — jest tylko wypadkiem!

Tak patrzyłem także ja dawniejszy, człowiek między ludźmi, jak patrzy tyle miljonów — ale dzisiaj w ten świt, który dopiero co stał się jasnym, uśmiechniętym porankiem wiosennym patrzyłem już całkiem inaczej. Widziałem zmaganie się, mozół, świst strzał i broczącą krew. Widziałem, jak ci wrogowie moi, którym jeszcze pozwalam żyć ze sobą, walczyli i bronili się przed dniem. Kiedy pierwsza jasność dniowa zarumieniła niebo oddechem jutrzenek zgasiłem lampę i czekałem. Widziałem, jak się rozpełzli po kątach, jak skakali w drgawkach do mych kolan, jak potem, w miarę, jak tężał blask ssali jadowitemi dziąsłami zwarty miąższ światłości, jak obumierali, podnosili się, upadali, kurczyli i chronili się w swoje mysie dziury, w ślepe kryjówki — a ja im kładłem na karki zwycięskie stopy — —

Wieczór.

Już wieczór. Przeżywszy w skupieniu ducha Golgotę zachodu, przysposabiam się na straszną noc. Dzień przeleżałem w sadzie, w miękkiej i wonnej pościeli traw, stokrotek i jaskrów i chłonąłem w siebie ognie niebieskie i żary słoneczne — — czułem, leżąc, jak rozbiegały się ze mnie tysiączne ramiona wzdłuż i wszerz, jak potem rosły w górę, biegły wwysokość nadiru nieskończonością wyciągniętych prawic i zgarniały blaski, promienie i barwy podając skwapliwie jedna drugiej, jedna drugiej, i układając udolnie i szybko tysiące ściśniętych w sprężystość stali promieni w mej głębi, w mej piersi — — —

Teraz zaś czuję je w sobie Rozpychają się, rozpierają i tężeją — a jutro — — w jutrzejszy dzień zgarnę je już całe — — całe promienne, wielkie słońce, obły krąg światłości w siebie — — pochłonę, przełknę, bo po jutrzejszym dniu przyjdzie największa, najgroźniejsza noc — noc nowiu.

Sobota — rano.

Dzień wstał, ale zamroczony, senny i leniwy. Czy się wypogodzi? Jest jeszcze bardzo wcześnie — szósta godzina dnia — — lękam się, czy — —

Popołudniu.

Koło ósmej przetarły się chmury i nadeszła najcudniejsza pogoda majowa. Poszedłem przez ogród, co półkolem rozkwitłych bzów otacza od wschodu dwór. Moja służąca, sprzątała, gdym wychodził, mieszkanie, co chwila spoglądając na mnie wzrokiem, który wyrażał jakby litość, gniew i chęć zapytań. Zatrzymałem się. Taką samą minę — przypomniałem sobie — miała cztery dni temu, kiedym ją posyłał do biura z zawiadomieniem o mojej niby — chorobie polegającej na silnem zdenerwowaniu. Nie mogłem jej wtedy wytłómaczyć, że można być chorym, a nie leżeć w łóżku. Teraz zaś zapytała mię:

— Pan jeszcze nie idzie do biura?

— Nie — odrzekłem — i śmiejąc się z jej głupiej miny dodałem:

— Jestem jeszcze chory; ale jutro, nie bójcie się, będę już kompletnie zdrów, taki zdrów, że mógłbym się ożenić z siostrzenicą księdza proboszcza!

Ścieżką biegnącą ukosem przez zarośnięty zielskiem gazon i zaniedbaną, cienistą, pełną świeżej, soczystej zieleni, aleją grabową wszedłem w sad, opleciony od drogi szpalerem zdziczałych porzeczek, opadający w widła rzeki i bagien, a z prawej strony ściętej urwiskiem wybrzeża. W tamtą stronę, przeszedłszy skośne rzędy jabłonek, grusz i wisien, w śniegu sypiącego się okwiatu, dostałem się na polankę, gołą suchą przechyloną nad urwiskiem, porosłą skąpą trawą i rzadkiemi tylarjerami stokrotek.

Słońce paliło tu mocniej niż gdzieindziej, a od suchej, pozbawionej wilgoci ziemi szedł ciężki zaduch piaszczystej gleby. Tutaj, podłożywszy ręce pod głowę ułożyłem się wygodnie, twarz obróciwszy na niebo zalane słoneczną pożogą. Zrazu nie było wielkiego upału, bo od rzeki nadbiegały co moment chłodne tchy i odrywały słoneczne usta od ziemi; w leszczynie zarastającej groble świegotały ptaki a rzeka szumiała leniwym rytmem; potem atoli ucichło wszystko. Go-

rącym prostopadłym słupem jasności słonecznej wbił się w ziemię upał, ucichły ptaki, zamilkł wiatr. — —

Znieruchomiawszy w bezruchu, zarzuciwszy wszelką zbyteczną myśl i rozważanie, ściszywszy rytm serca i krwi w pulsach przywarłem cały do tej ciszy i spieki. Zwarłem się z niemi i zetknąłem bezpośrednio; było to bolesne i rozkoszne zarazem. Potem uczułem, że z całego ciała, ze wszystkich pór i śluz — wylania się para, skrapla i okrywa mię wilgocią potu — wtedy na moment siadły mi na oczach ciężkie, przesycone wilgocią mgły, przestrzelone ostremi grotami jasności.

To trwało dość długo i doprowadziło mię do stanu słabości i półomdlenia, z którego wyzwolił mię ostry swąd i ból skóry, oczu, uszu i piersi — miałem świadomość, że zwęgla się na mnie skóra i tem mocniej wszedłem w siebie, zgarniając z zewnątrz żary i ognie — —

Potem w ponownem, ale tylko półomdleniu ujrzałem, jak wraz z złotawym płynem powietrza sączy się w moje żyły gorący eliksir, jak nademną i wokoło mnie pochylają się miljonowe warstwy drobniutkich postaci, błyszczących, jasnych i różnokrasnych, jak wchodzą we mnie, rozchodzą się po żyłach, nerwach i mięśniach i rozciągają zewnętrznie me ciało w nieskończone peryferje tkanek i włókien — — — potem ocknąłem się znowu i wreszcie popadając po raz trzeci w stan bezświadomości, poczułem nagły, ostry, szalony ból w piersiach, które się jakby rozdarły i wypełniły masami ognia i żaru — —

— — — — — — — — — — — — — — —

Chłodny powiew nadbiegł od rzeki i ocucił mię — — wstałem i, jak pijany, zataczając się i padając po drodze, zawlokłem się do mieszkania i bez sił upadłem na łóżko. — —

Kiedy teraz to piszę — zanosi się na burzę — parno jest, ale chłodny wiatr od rzeki, wpadający do pokoju przez otwarte okna, otrzeźwia mię i pozwala pisać — — — zaś w moich piersiach goreją wciąż wchłonięte blaski i żary i rozświecają je. I już — ach! — już nigdy nie będzie mroku i nocy — po tej ostatniej, która przyjdzie — — po tej nocy, w której rozprawię się z nią i z nimi czarnymi braćmi, demonami bezkresu, chłodu i mroku — którzy czyhają wciąż na moją zgubę — którzy walczyć będą ze mną do upadłego w tę noc, najczarniejszą noc świata, którzy — hahaha! — zginą w po-

tokach mej wewnętrznej światłości, co ze mnie wytryśnie, wtedy, gdy kir nocy będzie najgroźniejszy i najstraszniejszy — —

Potem.

Słońce zaszło. Mrok. Nie zapalam światła, bo po co? Wszakże o tej porze, kiedy noc będzie najczarniejsza — —

Noc.

Już się stało — — — Ręka mi drży, ale widzę wokół wszystko, papiery, książki, pudełka i szklankę na stole; mógłbym czytać, choć nie świeci się lampa — — już stało się — — już ich niema — — już jestem wolny!

I nocy już niema. Płaczę jeszcze jak Niobe nad dziećmi, nad i c h zwłokami, resztą rozpełzłych liljowych cieni — —

A ja pójdę witać słońce, promiennego mego druha, które za dwie godziny — a może zaraz — wejdzie i zastanie — — — ach — pójdę już na wschód, do niego przez sad, łąkę i rzekę — — — —

ADAM SZCZERBOWSKI.

Przeźrocza.

BEZ SKAZY I ZMAZY.

Pułk Krechowiecki ułanów obchodził swoje święto. Mało jest rzeczy tak pięknych dla oka polskiego, a tak melodyjnych dla ucha, jak widok lub przypomnienie sobie tego zastępu jazdy. Helleni Homera nazwaliby ich wybrańcami bogów.

W dniu pamiętnym Krechowice, w jednym i tym samym dniu siekli na prawo i na lewo, na Wschód i na Zachód, Moskalów i Niemców (z filją austrjacką). Orjentowali się jak ów stary wyga powstaniec, który na zapytanie „gdybyś miał przed sobą Moskala, Niemca i Austrjaka, do którego z nich najpierwej strzelałbyś?“, odpowiedział: „w kupę, panie dobrodzieju“.

Mieszka w was cząstka nieśmiertelności narodowej, to co w Starej Polsce było najpiękniejsze i to co będzie najpiękniejsze w Młodej. Arka przymierza między dawnemi i nowemi laty. Czystość elementu, niedającego się zaśmiecić. Wszystko wam jedno, czy szarża pod wiatr, i pierś dyszy od wysiłku, czy chichot powietrzny popycha zady waszych koni. Widzicie przed sobą punkt, cel. I cel — wasz.

Gdy ojczyzna wysyła was na pole śmierci, w obłokach, pędzi nad wami, nadaje rytm biegu, jeździec na karym koniu, Józef Poniatowski, wasz

honorowy dowódca. Honor! Na chorągiewkach waszych niema takiego napisu, a jednak każdy ten wyraz tam czyta. Więc któż i cóż może go stamtąd wymazać? Jakie błoto, jaki kurz, jaka plama?

Rycerze piękna! Słońce pieści się wami.

Igr.

SCLAVI RATIONANTES.

Większość prasy napada na społeczeństwo za to, że z powodu Śląska manifestowała niezadowolenie przed poselstwami włoskiem i angielskiem. Takie odruchy płynące z poczucia sprawiedliwości uważa za samowolę, za szkodnictwo, za tradycyjne echa anarchji i wzywa rząd do ukróceń wybryku.

Co za delikatny. syjoński rozum!

Przez dwa długie i smutne lata ta sama „prawno-państwowa" prasa półgębkiem, tchórzliwie, tolerancyjnie odnosiła się do zaprowadzonego w kraju trybu anarchicznego, dając z małym wyjątkiem wzory zupełnego braku odwagi cywilnej, chyba, że chodziło o porachunki osobiste. Ta sama prasa, która przyczyniła się do rozwoju anarchizmu, teraz z półdziewiczym purytanizmem atakuje największe dobro społeczne, odruch moralny. Moralizatorzy nauczyciele kurjerkowi, od nekrologów, ogłoszeń i asymilacji żydowskiej. Ładni kapłani państwowości i dobra publicznego.

Że gorąca grupka ludzi gwizdała przed Anglikami lub Włochami (nie gwizdała przed Francją), jest to nic, absolutnie nic dla polityki zagranicznej rządu, ani pomocne ani szkodliwe. W krajach najbardziej cywilizowanych, wysoko wolnościowych dzieją się takiego rodzaju rzeczy na kopy; dziać się muszą i dziać się powinny. Oburzenie jest uczuciem świętem, a wyraz jego zawsze jest cenny, jeżeli powód jest faktyczny, a oburzenie szczere. Jest cenny dla świadomości samego narodu. Uświadomione uczucia rodzą potem silne fakty, rzeczy.

Zatłuściałe iście „burżujskie łebki kurjerkowych statystów nie są zdolne zrozumieć, że Polskę anarchizowali zawsze cudzoziemcy i ich wpływy polityczne, a sam naród jest o wiele za bierny, za dobroduszny, za mało krytyczny i jeżeli można mu zarzucić to właśnie nie tendencje anarchiczne, lecz godzenie się na najgorsze na swojem ciele doświadczenie.

Tak zwany szlachcic saski z popuszczeniem pasa był za głupi, aby być anarchistą. Stąd mógł był być tylko narzędziem ludzi z planem. I takiem narzędziem był.

Nasz tłum uliczny jest bezkrwisty, anemiczny, boi się własnego cienia, dotychczas nie czuje, że jest u siebie w domu. A jeszcze gęsie pióra, rozumkujący niewolnicy, syci swego stanowiska i wpływu napastują nań, jeżeli drgnie i zdobędzie się na trochę „serca".

To jest działanie złe, fałszywe. Gwizdanie przed cudzoziemskiemi ambasadami ma akurat taki związek z anarchizmem państwowym, jak bujne życie korporacji akademickiej z zabawą domu publicznego pod patronatem żyda.

G.

Z literatury.

Remigjusz Kwiatkowski: Parasol noś i przy pogodzie.

Aforyzmy wschodnie. Wydanie trzecie. (Księgarnia Św. Wojciecha. Poznań 1921.)

Jeżeli po przeczytaniu „Buta w butonierce“, „Kresek futuresek“ i „Niebios na półmisku“ dostałeś zawrotu głowy i nie wiesz, czy autor z ciebie zakpił, czy też niedorosłeś do jego zrozumienia, jeżeliś utracił poczucie rzeczywistości, zdrowego sensu, odczuwania piękna i radości — weź do ręki Aforyzmy wschodnie — Remigjusza Kwiatkowskiego.

Prawdziwy to skarbczyk małych arcydzieł, oprawnych drogiemi kamieniami trioletów, których pieszczotliwy rytm i rym gnie się posłusznie i perli wszystkiemi barwami wschodu. Z tych „najwonnieszych kwiatów poezji“ wyziera tajemna głębia duszy wschodniej, wykwita mądrość całych stuleci.

Zachowanie tego couleur local, mistrzowska umiejętność przetapiania odwiecznych prawd, które w żadnej cywilizacji i w żadnej epoce nie tracą swojej wartości, to najwybitniejsza cecha przekładów Remigjusza Kwiatkowskiego.

Wśród niemowlęcego bełkotu dzisiejszejszej poezji, „Aforyzmy wschodnie“ są jedną z tych nielicznych oaz, wśród których orzeźwić się można tchnieniem sztuki prawdziwej. — Nic więc dziwnego że zbiór ten cieszy się niezmierną poczytnością, o czem świadczy ukazanie się w krótkim czasie trzech wydań,

Dodać należy, że i zewnętrzna szata książki dopełnia w zupełności miary dodatniego wrażenia.

Treść zeszytu X-go.

Do zeszytu dołączony jest Nr. 9 „Gospody Poetów“, jako bezpłatny dodatek. (Za redakcję „Gospody Poetów“ odpowiedzialność ponosi wyłącznie jej redaktor *Radosław Krajewski)*.

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwart. Mk. 200. Za gran. i w Ameryce: Kwart. Mk. 340. Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk. 40, zagranicą i w Ameryce Mk. 60. — Cena oddzielnego zeszytu Mk. 40.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności № 38.

POLSKI POSTERUNEK WYDAWNICZY „PLACÓWKA“

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telefon 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka“: WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY GRABOWSKI, GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

№ 4350. 1200. 31.V.1921. ZAKŁADY GRAFICZNE M. S. WOJSK.